Nr. 46. We Lwowie dnia 18. listopada 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Życie psychiczne społeczeństwa,

przez

Bolesława Limanowskiego.

(DOKOŃCZENIE).

Skutkiem powiększania się zasobu pojęć i sądów, opartych na spostrzeżeniach i doświadczeniach, te wyjaśnienia, w które poprzednio wierzono, przestają zadawalniać. Zaczyna się powątpiewanie. Gdyby naród, czyli ogólniej mówiąc — społeczeństwo zatrzymało się na tym stopniu ewolucji, to rozstrojowi umysłowemu towarzyszyłaby anarchja społeczna, co prowadziłoby do upadku ducha, zwątpienia we własne siły i nieudolności do śmiałych i stanowczych czynów. Lecz jeżeli stan nieustannego powątpiewania jest możliwy w życiu oddzielnego człowieka i ludzie bez dogmatu nie są rzadkiem zjawiskiem w społeczeństwach z wyższą oświatą, to społeczeństwo, w którem jedne pokolenia usuwają drugie, i które z tego powodu łatwiej przeobraża się duchowo, wytrwać długo w takim stanie nie może. Czynniejsze umysły biorą się do dzieła rozbijania dawnych dogmatów. Roztrząsanie krytyczne ma przeważnie charakter negatywny. Jest to drugi stopień ewolucji umysłowej, nader ważny, niezbędny dla postępu, ale nie przedstawiający warunków zupełnej równowagi sił duchowych. Sama krytyka nie przywraca tego wewnętrznego spokoju, jaki daje zgodność uczuć z myślami. Uczynić to jedynie może wyrobienie pewnych p r z e k o n a ń, pozytywnych wyjaśnień umysłowych, które ustalając się i upowszechniając, stają się artykułami wiary, a ta daje pewność siebie i swojej sprawy. Im silniejsza jest wiara, tem społeczeństwo jest zdolniejsze do odpowiednich czynów. Wierzyć w zwycięstwo swojej sprawy, jest to pierwszy onego warunek.

Myślenie społeczne przejawia się głównie w dwóch kulturach: t r a d y c j i i o p i n j i, które mają olbrzymie znaczenie w rozwoju życia społeczeństw.

Czem jest pamięć, czem są wspomnienia w życiu oddzielnego człowieka, tem jest tradycja w życiu narodów, w ogóle w życiu społeczeństw. Wiąże ona teraźniejszość z przeszłością i dając możność porównywania tego, co było, z tem, co jest, wytyka drogę wnioskowaniu o tem, co może i co powinnoby być. To, co nie ma pewnej przeszłości za sobą, to przedstawia się jakoteż i niemające przyszłości przed sobą. Kiedy przeto nowopowstające pragnienia i kształtujące się przekonania wzniecają w społeczeństwach odpowiednie dążności i przekonania, myśl prawie mimowolnie szuka w przeszłości rodowodu, któryby nadawał im uprawnienie. Podczas sejmu czteroletniego mieszczaństwo dążąc do uzyskania praw obywatelskich, przypomniało, że był czas, kiedy posłowie miejscy zasiadali w sejmie. Wraz z podnoszeniem się kwestji włościańskiej przypominają dziejopisarze utracone obywatelstwo kmiecia polskiego. Kiedy upowszechniające się przekonania o równości powszechnej podkopywały na Zachodzie Europy powagę istniejącego ustroju własności ziemskiej, Lelewel i Mickiewicz w jasnych barwach kreślili ustrój gminny u dawnych Słowian, a żywe słowo Mickiewicza, rozbrzmiewające z katedry paryskiej nie mało się przyczyniło do tych badań nad ustrojem pierwotnej własności ziemskiej, których świetne uzupełnienie i streszczenie przedstawił Emil de Laveleye w swojem dziele. Grecy i Włosi dzisiejszą swą niepodległość w znacznej części za-

wdzięczają sławie swych dawnych przodków. Pamięć o chlubnej przeszłości pomogła Czechom wygoić swe rany, okrzepnąć i dźwignąć się na nowo, jako naród, który ma prawo do własnego państwowego istnienia. Tradycja dziejowa Irlandczyków, że kiedyś byli panami swej wyspy, niszczy coraz bardziej długowiekowe dzieło przywłaszczeń angielskich. I najezdca czuje potęgę tej tradycji i dla tego zacierając wspomnienia dziejowej przeszłości ujarzmionych narodów, prześladując wszystko, co przypomina niezależne dawne ich istnienie, działa on w dobrze zrozumianym swoim interesie.

Ze ścierania się mniemań pojedyńczych osób i grup społecznych wytwarza się opinja, którą przyjmuje i której poddaje się większość jednostek zbiorowego organizmu. Stanowi ona wniosek, sąd społeczny, czynnik wielkiego znaczenia w życiu społeczeństwa. Znaczenie to staje się tem większe, im ustrój jest bardziej demokratycznym, im społeczeństwo jest więcej oświecone. Tam, gdzie istnieje powszechne głosowanie nad wszystkiemi ważniejszemi sprawami, ważne znaczenie opinji publicznej widocznem jest dla każdego. Ale nawet i w państwach despotycznych nie pozostaje ona bez wpływu na tych, co dzierżą władzę w swych rękach. Zwłaszcza daje się to spostrzegać w wypadkach wielkiej doniosłości, a wtedy głos ludu — jak powiada przysłowie — staje się głosem Boga.

Im tradycja w narodzie jest mocniej zakorzeniona, im dokładniej zna on własną przeszłość, tem samowiedza jego jest silniejsza. Nauka historji ojczystej jest fundamentem patrjotyzmu. Co zaś do opinji publicznej, to należy zauważyć, że im w narodzie jest więcej upowszechnione przyzwyczajenie do pracy umysłowej, i im zakres jego wiedzy jest szerszy, a jej poziom wyższy, tem ogół z większą wytrawnością rozumuje i wnioskuje, tem sądy jego są więcej uzasadnione, a więc tem bezstronniej i gruntowniej ocenia swoje stosunki zewnętrzne i wewnętrzne i z większą łatwością przewiduje następstwa.

Myślenie jest zawsze połączone z uczuciem, lubo uczucia powstają i poruszają się powolniej od wyobrażeń. Usposobienie uczuciowe odziedzicza się częściej, aniżeli zdolność umysłowa. W uczuciu tak człowiek, jak i całe społeczeństwo znajduje więcej zadowolenia, aniżeli w myśli. Z tych to powodów uczucia działają silniej, i wpływ onych jest większy, zwłaszcza w epokach niedojrzałości umysłowej i zmniejszenia się energji życiowej.

Wpływ uczucia na rozwój umysłowy, na wyrabianie się poglądów życiowych jest ogromny. Jak już poprzednio mówiłem, wierzymy przede wszystkiem w to, co sprawia nam zadowolenie, a w każdym razie, wznieca nieufność naszą wszystko, co zakłóca nasz spokój, co burzy nasze dotychczasowe widzenie rzeczy. Wiara jest więcej sprawą uczuciową, aniżeli myślową. I dla tego przekonania, do których dochodzimy pracą umysłową, dopiero wówczas przechodzą — że się tak wyrazić — w krew i w kości społeczeństwa, kiedy wnikną w dziedzinę uczuciową i staną się wiarą społeczną. Niepodobna przeto się dziwić, że dla zwalczenia poglądów, które panowały przez czas długi, trzeba wielkich wysileń i znacznego czasu I dla tego po gwałtownej rewolucji, następuje zawsze reakcja, aczkolwiek w łonie swojem śmierć już nosi. Nowe uczucia, najłatwiej ogarniając nowe pokolenia, szerząc się i wzmacniając, przeistaczają tło duchowe całego społeczeństwa. Rewolucja ostatecznie zawsze zwycięża.

Uczucia stanowią podstawę życia społecznego. Określają one wzajemny stosunek jednostek do siebie i do całej społeczności. Określenia te, przekazywane dziedzicznie, stanowią to, co nazywamy moralnością. Myli się więc Herbert Spencer, a jeszcze bardziej Guyau, nadając jej charakter indywidualny. Pochodzenie jej jest społeczne, i poza społeczeństwem utraca ona wszelkie znaczenie. Uczucie etyczne jest to poczucie obowiązku społecznego. Kiedy ono jest na tyle silne, że może opierać się popędom egoistycznym, nazywamy je sumieniem. Wyrabiało się ono i wzmacniało w długim szeregu pokoleń, i otrzymujemy je w dziedzictwie nie tylko duchowem, ale i cielesnem. Wszelkie uszkodzenia organizmu, zmniejszające energję życiową, osłabiają poczucie moralne. Znika ono zupełnie przy silnych zaburzeniach w dziedzinie umysłowej i uczuciowej. Społeczeństwom wyższej kultury odpowiada wyższa moralność, a taka, jaka się przejawia na niższych stopniach uspołecznienia, razi je swoim charakterem niemoralnym. Jednostki, które nie mają sumienia, czyli zmysłu moralności, odpowiedniego danemu społeczeństwu, albo są produktem atawistycznym, albo należą do zwyrodnionych. Tych ostatnich Maudsley nazywa idjotami moralnemi. Można powiedzieć, że czem jest wiedza w dziedzinie umysłowej, tem jest moralność w dziedzinie uczuć.

Rozwój zdolności umysłowych i powiększony zasób wiedzy wpływają na wyjaśnienie i spotęgowanie uczuć, a te znowu ze swojej strony wprowadzają do wiedzy pierwiastek altruistyczny. Można więc powiedzieć, że wiedza uświadamia moralność, a ta umoralnia wiedzę.

Wola, tak samo jak myślenie i uczucie, wyrabia się i wykształca. U dzieci i ludów dzikich jest ona słaba, a w miarę dojrzałości wzmacnia się. Zależność jej od uczucia jest większa, aniżeli od myśli. Dowodem tego wszelkie namiętności. Wobec miłości i nienawiści tracą swą siłę wyrozumowane wywody. Miarą siły woli jest jej celowość, czyli dążenie do pewnego zamierzonego celu. Ażeby osiągnąć ten cel, trzeba przedewszystkiem chcieć to uczynić, a następnie umieć to zrobić. Im potężniejsze uczucie, tem większa celowość woli, ponieważ tem silniejszy

pociąg, tem gorętsze pragnienie prą ku celowi. Im zaś cel przedstawia się w umyśle wyraźniej, im z większą trzeźwością myśli odbywa się ocena drogi i środków ku niemu prowadzących, tem wola więcej się uświadamia i z tem większą potęgą pobudza do działania. Instynkt samozachowawczy narodu, ujawniający się w warstwach ludowych biernym oporem najazdowi i pogardliwemi przezwiskami najezdców, w kołach więcej uświadomionych staje się czynnym patrjotyzmem, dążącym do odzyskania niepodległości. Uświadomiony cel przedstawia się jako idea, a wszystkie przyświecające w danym czasie ideje składają się na to, co nazywamy ideałem.

Wola jest główną podstawą charakteru. Jak pod względem biologicznym różne są temperamenty, tak pod względem psychologicznym, różne muszą być charaktery.*) Historycy oddawna zauważali, że każdy naród odznacza się właściwym sobie charakterem. Tak naprzykład Schlosser, opowiadając walkę Holendrów z Hiszpanami, uważa, że charakter pierwszych stanowią: upór, wytrwałość, przekora. Zgromadzenia ludowe w państwach greckich wyradzały często swawolę i nadużycia, chociaż zwykle przemawiało niewielu; w Kartaginie zaś obrady ludu zawsze kończyły się spokojnie, chociaż z prawa przemawiania zwykle wielu korzystało: przyczyną tego była znana płochość Greków i poważny charakter Kartagińczyków. Znaczenie socjologiczne charakteru jest bardzo ważne. Tarde przyszedł nawet do tego przekonania, że narody obowiązane są więcej swemu charakterowi, aniżeli rozwojowi umysłowemu.

Naród, żyjąc tylko pełnią życia psychicznego, może powiększać wciąż swój kapitał duchowy. Wszystko więc, co krępuje tę pełnię życia, wyrządza narodowi straszną szkodę.

Nieboszczka Barbara,

przez

Karolinę Świetlę.

(Ciąg dalszy).

— Tylko Maćka zostawcie w spokoju! — krzyczała, zapalając się na twarzy — dla siebie ma on aż nadto rozumu, a dla innych mieć go nie potrzebuje!

Maciek nigdy się tak nie zrywał, słysząc coś niepochlebnego o sobie lub Baśce, ale też żadna siła nie mogła już tego zatrzeć w jego pamięci. Gdy mu wypadło mijać takiego, co to powiedział, wbijał wzrok w ziemię i nie byłby go podniósł, gdyby nawet wiedział, że ów człowiek strzeli za to do niego. O, miał i Maciek swój rozum, umiał się postawić, umiał skarcić skutecznie tych, którzy mu się nie podobali!

Na muzyce żadna dziewczyna tańczyć z Maćkiem nie chciała, tem lub owem się wymawiając: zarzucały mu już to niski wzrost, niepozorny wygląd, zasępioną minę, już to, że nie ma innego ubrania, prócz kazajki nieboszczyka ojca, z pod której wyglądała na szerokość dłoni kamizelka z guzikami wielkości pięści, — i kto wie, co jeszcze w nim upatrywały. Mogły sobie upatrywać: Maciek o to nie dbał, wytańczył się za każdym razem i bez ich łaski do syta. Baśka przychodziła zawsze sama dla niego na muzykę. Brała go za obie ręce, jak matka roczne swoje dziecko, które uczy stawiać pierwsze kroki i tańczyła z nim, dopóki mu tchu starczyło. Jej samej nie zabrakłoby go pewnie, gdyby nawet i przez całą noc z koła się nie wysunęła.

Taniec z Maćkiem nie był ani czemś bardzo wesołem, ani przyjemnem. Biedak nie znał ani jednej nuty i nigdy w takt podskoczyć nie potrafił. Przebierał nogami na los szczęścia, zwieszając głowę i podając się całem ciałem naprzód — i gdyby go jego ta cerka nie trzymała tak silnie za ręce, kto wie, ile razy w ciągu jednego wieczora byłby ziemię pocałował. Natomiast Baśka wyskakiwała obok niego tem wyżej i raźniej, oglądając się na wszystkie strony, czy też ludzie dość uważnie im się przypatrują, czy też widzą, jak umie Maćka prowadzić. Uśmiechała się przytem, błyskając wszystkiemi swemi białemi zębami. A ludzie boki sobie zrywali na ten ich taniec.

— I pocóż tak się wciąż męczysz z tym niezgrabjaszem? Nadajesz się wybornie do pląsów, więc i my wykręcilibyśmy się też z tobą chętnie raz — drugi, — wołali chłopcy na Basię, lecz nie na serjo, tylko żartem, aby usłyszeć, co im odpowie. Nie byliby jej za nic wzięli do tańca, chybaby który chciał w ten sposób dokuczyć swojej kochance.

Ale Baśka ostro im się odcinała.

— Wykręcajcie się z kim sobie chcecie, — mówiła, — ja Maćka nie opuszczę i ganić go nie pozwolę. Potrafi on wypleść strucel na czterdzieście stron, umie też zrobić miotłę i ustawić garczki na gniazda dla szpaków. Nie wszystkich zresztą wprawia piękność w taki zachwyt, aby mieli zaraz dla niej łbem o powałę tłuc i skały w ręku kruszyć.

I znow śpieszyła z Maćkiem do koła, a skoro znalazł się taki, co nie dość żwawo przed nimi się obracał, chwytała go za łokieć i odtrącała na stronę ruchem tak porywczym, że biedak nie wiedział na jakim jest świecie i skąd się wziął

---

*) Temperament wyraża całość właściwości cielesnych, charakter — całość właściwości psychicznych. Wzajemna zależność pomiędzy niemi jest wielka, temperament jednak przemaga.

na nowem swem miejscu. Zwinność Baśki w zachwyt wprawiała Maćka, który szeptem i oczami wskazywał swej tancerce, kogo ma jeszcze z koła wyrzucić, dusząc się przy tem ze śmiechu. A potem, gdy wracali do domu, upewniał Basię, że nie ożeniłby się z żadną inną dziewczyną, gdyby mu nawet w zamian za to całe Jeruzalem dawano i że nie opuści jej nigdy, choćby go z samej Pragi wezwały dziewczęta, aby tam po jedną z nich przyjechał.

III.

Jeżeli kiedy w niedzielę dała gospodyni Maćkowi chleba z serem, zjadał on chleb, a ser chował dla Baśki. Jeżeli kiedy w niedzielę dostała Baśka od swego gospodarza buchtę, odkładała ją zaraz na stronę dla Maćka. Skoro tylko Maciek umył po obiedzie drewnianą swoją łyżkę, ściągał niezwłocznie codzienną kurtę i przywdziewał czerwoną, po ojcu odziedziczoną kamizelkę, a na nią kładł błękitną kazajkę, w której się tak nie podobał dziewczętom. Jak tylko Baśka wydoiła po południu krowy, już zarzucała na siebie krochmaloną spodnicę, brała jedną ze swoich chust na głowę, drugą na szyję i szła na spotkanie Maćka.

Wiedziała, że przyjście jego tak jest pewne, jak amen w pacierzu, chociaż się nigdy ze sobą o to nie umawiali, i on wiedział również, że Baśka wyjdzie na jego spotkanie, ba, zgadywał nawet zawsze, w jakiem miejscu mignie mu między drzewami.

— Na spotkanie innego jakiego chłopca nie byłabyś wyszła, nieprawdaż? — zapytywał ją, gdy szli już obok siebie.

— Ani za siedm złotych grodów! — upewniała go Baśka.

Aż dziwnie pomyśleć, jak się miłowali! żaden z pewnością chłopiec z żadną dziewczyną nie kochali się tak szczerze, jak tych dwoje. Czego chciało jedno, tego i drugie, jedną, zaiste, mieli duszę.

Gdy zimno było na dworze lub deszcz padał, chronili się do jakiego chlewka, gdy niebo świeciło pogodą i słonko grzało, przysiadali gdzieś na miedzy. On sięgał w kieszeń i podawał jej serek, starannie w leszczynowe liście owinięty, ona rozwiązywała białą chuścinę i wtykała mu w rękę buchtę. Jedli, wygrzewali się, w parne popołudnia, bywało, zdrzemnęli się odrobinę, kiedyindziej znowu tak się rozgadali, że trudno im było umilknąć. Maciek dziwne lubił wszczynać rozmowy, aż słuchającą go Basię często zimny dreszcz przejmował, aż pojąć nie mogła, skąd, mu takie myśli przychodzą do głowy.

Skoro dostrzegł, naprzykład, z miedzy powóz, toczący się drogą, wnet zgadywać zaczynał, kto w tym powozie siedzi: rządca ze dworu, piwowar z miasta, czy też sam książe?

— I tak, jedni zawsze tylko powozami jeżdżą, podczas gdy inni przez całe życie piechotą chodzą, co jest niesprawiedliwe i powinnoby być wzbronione — wsuwał między swoje domysły uwagę Maciek.

— Rząd nie wyda chyba nigdy takiego zakazu — odpowiadała Baśka.

— O niema obawy, aby panowie do takiej sprawy się wzięli! — śmiał się Maciek, o którym jednak powiadano, że jest słaby na umyśle.

— Gdyby Bóg chciał, toby tak było na świecie, — wtrącała Baśka, — prawdopodobnie jednak jest inaczej dlatego, że nie wszystkim służyłoby to na zdrowie.

Ale Maciek dowodził dalej z zaciętością, że wszyscy ludzie powinni powozami jeździć i nie chciał odstąpić od swego zdania. Baśka atoli dostrzegła słabą stronę w jego rozumowaniu i wnet w nią uderzyła.

— A któżby, chłopcze, doglądał koni? Ktoby je karmił i poił? — pytała.

Maciek nie wiedział, co tak zaraz ma Baśce odpowiedzieć i długo w nią się wpatrywał, otwierając szeroko oczy i usta. Zaniechał w końcu bezpośredniej odpowiedzi, oświadczając natomiast, że chciałby kiedyś posiadać tyle pieniędzy, aby mu w kieszeni przy każdym kroku pobrzękiwały.

— Wszak i to przyjdzie z czasem, — pocieszała go Basia.

— Oh, nie przyjdzie, nie przyjdzie! — zaprzeczał z płaczem Maciek, ale w duszy pragnął, aby Baśka przekonywała go dalej.

— Mówię ci, że przyjdzie — twierdziła dziewczyna. — Alboż nie zaczyna nam obojgu coraz lepiej się powodzić? Mamy wszak piękny u ludzi grosz i jeżeli Bóg da zdrowia i życia, potrafimy go, jak się patrzy, zużytkować.

— A gdzież go mamy?

— Gdzieżby, jak nie u naszych gospodarzy? Jeżeli w dobrem zdrowiu służyć im będziemy jeszcze przez jakich lat dwadzieścia, to na opłacenie nas nie starczy im nawet całej setki. Porachuj tylko sobie!

— Więc to tak! — gniewał, się Maciek — więc żarty ze mnie stroić będziesz! Długo jednak chmurzyć się nie mógł, musiał przecie choć odrobinę się uśmiechnąć ze zręcznej odpowiedzi Baśki, która zdawała się żartować z niego, a jednak mówiła prawdę i przy głębszem zastanowieniu trzeba jej było przyznać słuszność. Baśka, widząc, że mu się na śmiech zbiera, parsknęła głośno, co widząc i on poszedł za jej przykładem. I chichotali tak, nie mogąc się utulić, dłużej niż godzinę, z radości, że tyle mają po ludziach pieniędzy, że są tak bogaci.

Nagle wśród najszczerszego śmiechu polały się Baśce łzy z oczu.

— Spełniło się choć jedno przynajmniej życzenie nieboszczki mojej matki — mówiła, uśmiechając się przez łzy. — Powtarzała mi ona często: »Nic nie mogę, niestety, zostawić ci po śmierci dziecko, obyż przynajmniej dobry Bóg pozwolił ci odziedziczyć moje usposobienie. Nie potrafię się gniewać i we wszystkiem co mnie spotka,

choćby to było coś najgorszego, umiem znaleźć dobrą stronę.

Maćkowi łzy leciały z oczu tak samo, jak Baśce, bo jeżeli śmiał się zawsze, słysząc jej śmiech, jakżeby mógł nie płakać, widząc ją szlochającą? Wszak mówiłam wyżej, że ci dwoje jedną mieli duszę.

— Niczego na tym świecie nie pragnę, — łkała Baśka — prócz jednej, jedynej rzeczy: chciałabym raz w życiu być w Vamberzycach. Tam nieboszczka moja matka ofiarowała mię matce bożej, tam też wyprosiła dla mnie szczęśliwe swoje usposobienie.

— Wszak i to przyjdzie z czasem, — pocieszał teraz z koleji Maciek Baśkę, — jak przyjdzie i wiele innych rzeczy, — dodał, ciesząc się, że nawinęły mu się na myśl te słowa, które ją może w płaczu utulić zdołają.

— Więc sądzisz, że będę mogła sprawić sobie kiedyś zieloną suknię z żółtem, jak siarka, lamowaniem? — westchnęła Baśka ocierając oczy pracowitą, stwardniałą dłonią. — Wyznaję, że radabym była niezmiernie mieć na sobie coś pięknego, gdy przystępować będę do komunji.

— Ale radabyś też mieć i własną kozę i chałupę? — badał Maciek.

— Dla czegożbym nie chciała mieć własnej kozy i chałupy? Pewnie, że chciałabym. Ale wiesz, co ci powiem? Oto gdybym kiedy do niej doszła, nie miałabym spokoju, dopókibym nie zawiesiła w izbie obok pieca czerwonego, jak krew, łyżnika o ośmiu półkach, na cztery cynowe łyżki każda.

— A gdybym ja miał chałupę — zawołał Maciek, i przy tych słowach zdawał się wyższym o głowę — wiedziałbym również co zrobić. Rzuciłbym natychmiast wszelką robotę gospodarską, a oddałbym się cały wiązaniu mioteł. Taką robotę, to rozumiem: siedzi sobie człowiek w ciepłej, czystej izbie i robi swoje, a każdy o niego się dopytuje i każdy o nim wie. Bez miotlarza nikt się teraz nie obejdzie.

— To prawda — przytakiwała Baśka — wiązanie mioteł to piękna rzecz i mnie to rzemiosło bardzo się podoba.

— Ale ja przecie nietylkobym miotły robił — przechwalał się Maciek, wyrastając znowu o głowę — lecz i drewniane latarnie, do których sam wprawiałbym szkła. A gdyby kto obstalował u mnie klatkę na przepiórki, zrobiłbym mu ją również i zwiesiłbym w niej u góry dzwonek. Ba, wziąłbym się nawet do budy dla psa. Wymalowałbym ją na zielono i — aby każdemu podobać się musiała, upstrzyłbym ją szafirowemi gwiazdami i żółtym miesiączkiem. Nie myśl tylko, abym tego zrobić nie potrafił. Potrafiłbym!

(C. d. n.).

SEN.

FANTAZJA,

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

Widziałem teraz jasno, że koniecznie musiałem tak żyć, jak żyłem i tak zginąć, aby się życiu przyjrzeć i zobaczyć je, odczuć sobą samym... *Sunt hic etiam sua praemia laudi; — Sunt lacrimae rerum et mentem mortalia tangunt. Solve metus; feret haec aliquam tibi fama salutem!*

Oni mnie skazali, potępili, sądząc, że bronią od lat tysięcy czegoś bardzo drogiego. Krwawe i niekrwawe ofiary padały już na tych ołtarzach i z pokolenia w pokolenia będą padały w przyszłości. Źli ludzie także mają miłość czegoś, ażeby zabijać mogli. Miłość jest dla ludzi orężem ich złości, złość miłości oręż stanowi. Co mi się wydawało nizkie, niedorzeczne, było tylko koniecznem i każdy w tem ludzkiem zgromadzeniu odegrał bardzo dobrze swą rolę. Ideału swego oni nie urzeczywistnią, gdyż go w pragnieniach swoich ciągle zmieniają, a życiem własnem najwyżej do pospolitej mierności go wznoszą. Boskie światło nigdy ztamtąd nie błyśnie, nie porwie. Ale i tak coraz wyżej i wyżej!

Dziwne jest teraz moje życie. Nie czuję w sobie ani potrzeby żalu, ani skargi, ani gniewu, ani zemsty, ani przebaczenia. Żaden mus nie zniewala do niczego mojej duszy. Jakież uczucie może istnieć tam, gdzie się wszystko daje wyjaśnić, podciągnąć pod prawo konieczności? Czy potępiony, ażeby zginąć, ocalałem rzeczywiście i istnieję?... Spostrzegam to, czego mi nie dozwalały widzieć moje uczucia, namiętności, uprzedzenia, stosunki z ludźmi; więc ja chyba istnieję.. Widzę przecież, jak mnóztwo ludzi pędzi w zawody, aby bronić ideałów, a każdy je tylko obraża.

Są i dobrzy, szczerzy ludzie, tylko tym drży ręka z obawy, czy podołają zadaniu?... Marzy się o wszystkiem, żeby było wielkie, piękne — i nic się nie osiąga. O, nie, przypadkiem osiąga się nie jedno!

Widzę, że świat w marzeniach nielicznych ludzi jest bardzo piękny, ponieważ piękne są dusze tych ludzi, rzeczywistość jest marna- Spostrzegam to coraz wyraźniej, jaśniej, a nim lepsze jest moje widzenie, tem większa pustka w sobie samym się tworzy.

Co za wartość ma życie spokojne, bez uniesień, pragnień, bez błędów, bez miłości, nienawiści, bez udziału w ludzkich zachwytach, szałach, błędach, pracach i wywczasach? Żadna praca mnie nie zachwyca, nie porywa, jeśli ją tylko dla siebie oglądać mogę, jeśli mnie nie

ciągnie w wir ludzkich mniemań i nie wytwarza wśród ludzi wrzawy walki, zgiełków podziwu. Ciepło w piersiach człowieka nie jest po to, aby ogrzewało jego samego i ono mu nie wystarczy, chociażby Prometeuszem był między bliźnimi swymi. Gdyby mi nawet z gwiazdami wolno było pląsać, nie chcę, jeśli tam niema takich, jak ja, ludzi!

Dziecko swojego wieku, każdy człowiek jest bratem wszystkich ludzi, zarówno wszystkich marnych, jak genjuszów myśli i uczucia. Jeżeli się go wyrzekną, on nie zostanie jednak krokodylem, ani wężem. Bez czysto ludzkiej atmosfery on wyżyć nie zdoła, a gdy go cios taki dotknie, znaczy to, że się grób do niego zbliżył. I po co żyć, gdy życia niczem stwierdzić nie można, gdy się niem nie bierze udziału w życiu innych ludzi?

Moralny aparat potępienia człowieka przez gromadę jest w gruncie rzeczy tak zimny, nienamiętny, że wszystko odbywa się tu spokojnie, jak w machinie. Długie wieki przez ciągłą praktykę wykształciły sposób potępiania i za to trudno kogobądź obwiniać...

Z tą uwagą i sen mój się skończył.

Nieco o Szekspirze

z powodu nowego wydania jego dramatów

(Dokończenie).

Te fale, te przybory i odpływy, ten straszny, na chwilę nieustający ruch, ten gwar wszystkich podmuchów, te czarności i te przejrzystości, ta wegetacja właściwa tylko otchłaniom, te orły wśród piany, te gromy błądzące tu i ówdzie, jakby się na kogoś czaiły, te potężne łkania, te wychylające się z mroku potwory... te piekła i te nieba nieskończoności wieczyście czemś wzruszonej, ta niezbadaność, ta niezgłębioność — wszystko to istnieć może w ludzkim duchu, a wówczas duch ten jest genjuszem i świat posiada Eschylesa, posiada Izajasza, posiada Juwenala, posiada Dantego, posiada Michała Anioła, posiada Szekspira — i jest w gruncie rzeczy jednem i tem samem: przypatrywać się tym duchom i przypatrywać się oceanowi«. (*)

Jedno jest w Szekspirze niezawodne: że był genjuszem. Był genjuszem, to znaczy: był zjawiskiem, którego genezy żadne dochodzenia estetyczne z zupełną ścisłością wyprowadzić nie potrafią.

*) W. Hugo: Willjam Shakespeare.

Wiadomo, jak wielu krytyków i komentatorów miał »Hamlet«. Któż powiedział o nim słowo ostatnie? kto zdanie swe ugruntował tak mocno, aby go już inni z miejsca nie ruszyli?...

To zresztą należy do stałych właściwości genjuszu, że go ani przejrzeć odrazu, ani jednem spojrzeniem ogarnąć nie można. Z głębin ducha genjalnego, jak z głębin oceanu, wychylają się do nas coraz inne kształty. A w tych kształtach i człowiek pojedyńczy i epoka cała widzą najlepiej i najwyraźniej to, co się mieści w nich samych.

Począwszy od Goethego, który pierwszy wyznaczył »Hamletowi« stanowisko wysokie i zagadkową tę postać należycie oświecił, ze wszystkich stanów ducha, odmalowanych przez Szekspira, najwidoczniejszą jest dla świata: melancholja królewicza duńskiego.

»Hamlet« uważany jest powszechnie za najwyższą i najdoskonalszą kreację Szekspira, za *summum* filozoficznych i religijnych przekonań poety, nakoniec: za samego poetę.

Przy innej sposobności postaram się dowieść, jak wielka w poglądach tych tkwi omyłka — tymczasem zaznaczam, że »Hamlet« dla tego najbardziej nas pociąga, że jako sceptyk, najbliższy jest naszemu, nawskróś sceptycznemu, stuleciu.

Ale już jutro lub pojutrze zmienić się to może.

Dość będzie jednego silnego wstrząśnienia umysłów, zbyt już długo na jednym punkcie zatrzymanych; dość będzie podniesienia się ku wyżynom wiary lub też zapadnięcia w zupełną niewiarę, aby Hamlet poraz wtóry pozbawiony został tronu.

Zajmie on wówczas stanowisko nie niższe, ale i nie wyższe od Romea, Makbeta, Lira itd. — i wróci na to miejsce, które mu przy urodzeniu rodzic zaznaczył.

Nie potrzebuję dodawać, że arcydziełem prawdy psychologicznej zawsze pozostanie.

Rzecz zaprawdę dziwna i bynajmniej na korzyść czasów naszych nie przemawiająca, że lubują się one bardziej w chorym i jałowym Hamlecie, niż w kipiącym pełnią młodości, energji i sił żywotnych Romeu.

Ten ostatni również jest dla krytyków zagadką.

Nie pojmują oni, jak mógł wulkaniczną tę miłość odczuć i odtworzyć anglik i w dodatku człowiek, o którym »nie przechowała się najmniejsza wskazówka, aby będąc familją obarczonym aktorem, żyjącym zdala od familji, w świecie, gdzie panują dość wolne obyczaje, kochał kogo na serjo, namiętnie i długo«. *)

Prawda. Anglicy nie kochają, jak Romeo, gdyż Romeo kocha, jak południowiec. Ale na tem nie koniec. Miłość Romea jest nietylko uczu-

*) Wł. Spasowicz: »Szekspirowska historja tragiczna, o księciu duńskim Hamlecie«.

ciem południowca; Romeo kochał, jak kochają — poeci.

Że Szekspir do miłości takiej był zdolny, o tem na chwilę wątpić nie można; że ją przechodził, wskazówka — dochowała się. Znaleźć ją można w jego sonetach.

Ale nie należy do sonetów tych przystępować z lekceważeniem, jakie im okazuje Spasowicz, który twierdzi, że podobnie jak »nikomu z naszych krytyków nie przyszło na myśl szukać rysów biograficznych dla charakterystyki Mickiewicza w jego sonetach z Laurą, o Laurę, do Laury«, tak samo nie można i nie wypada »dochodzić takichże rysów w cukrowych sonetach Szekspira«.

Wysoko ceniąc krytyczną przenikliwość dzielnego pisarza i jego umiejętność wnikania do samej głębi przedmiotu zapomocą procesu, którybym nazwał dochodzeniem sądowo-krytycznem — opinji powyższej podzielić nie mogę. Trudno mi też zgodzić się i na pogląd o sonetach w ogólności, które mają być rodzajem, gdzie »materjał rzeźbi się na chłodno, a nie przetapia i gdzie można za patos często wziąć morał, kończący się na misternym żarcie, albo na grze słów«.

Niema formy, którejby nie nadużyli, nie spospolitowali i nie zohydzili literaccy kuglarze — ale sonet Mickiewicza i sonet Szekspira zawsze wydawać będą szczerozłoty dźwięk prawdy.

» Król Lir« zagadek nie przedstawia i dochodzeń nie potrzebuje. Jest to odwieczna historja ludzkiej niewdzięczności i spychania się pokoleń.

Stary, prawie bajeczny świat, jaki w tragedji tej maluje poeta, przygniata nas swemi gigantycznemi rozmiarami.

W »Lirze« są sceny, których nerwy dzisiejszego widza, a nawet czytelnika, znieść nie potrafią. Nie widzi się tam chwilami dramatu, lecz wprost: rzeźnię.

Kogo nie przejmie zgrozą, lękiem, a nawet fizycznym wstrętem krwawe *finale* tej smutnej historji? Doskonale pojmujemy Garricka, który je dla sceny angielskiej zmienił i możliwem do zniesienia uczynił.

Jednak harmonja obrazu domaga się tego właśnie końca, jaki jest w oryginale.

Gig. ntyczna walka rozszalałych, nadludzkich prawie namiętności nie może się kończyć lafontaineowskim morałem.

»Sprawiedliwość — słusznie zauważył Kraszewski — nie przychodzi na tym świecie, nie domierza się widocznie. Rzadko cnota dostępuje tryumfu — i dlatego właśnie jest cnotą, że się go nie spodziewa, że nań nie rachuje«.

Jest to niezaprzeczona prawda, ale jedna z tych, o których nie można powiedzieć: prawda to słońce. Zasępia ona i przygniata duszę lawiną mroku — jak zmora ją dusi...

»Makbet«, choć nastrojem swym równie ponury, nie zaczadza już w tym stopniu okropnością. Pod rządami Dunkana można jeszcze odczasu do czasu odetchnąć. Przez mroki przedziera się tam chwilami promień słoneczny; w zbrodniarzach budzi się sumienie.

»Lir« jest utworem nawskroś pesymistycznym, t. j. do pesymizmu wiodącym. Mówi on nam: świat jest tylko jeden i świat ten jest zły. »Makbet« pozwala mieć otuchę, bo mówi o istnieniu dwóch światów: dobrego i złego. Te dwa światy zahaczają wzajem o siebie, ścierają się ze sobą i na przemian to jeden, to drugi zwycięża.

Cieniami posługujemy się zawsze dla uwydatnienia świateł — w »Lirze« stosunek ten został odwrócony. Tam odrobina światła, które wyobrażają Kordelja i Kent, służy na to tylko, aby wyraźniejszemi uczynić ciemności. »Makbet« posiada więcej harmonji etycznej: cienie i światła rozłożone w nim są prawie równomiernie.

Za to »Otello« rzuca nas znowu w mroki bezsłoneczne...

W »Otellu« nie widzimy już nawet walki. W nim dobroć i szlachetność zdają się istnieć na to tylko, aby dostarczać żeru podłości i podstępowi.

Trzeba być nielada sofistą i posiadać nielada upór w stawianiu na swojem, aby, jak Schlegel, w męczeńskiej śmierci Desdemony widzieć »karę za nieposłuszeństwo ojcu, za poruczenie się obcym, ekspjację za namiętność, której ona poświęciła wszystko«...

Jak zachowuje się poeta względem tych rozpaczliwych zapasów światła z cieniem? Tak właśnie, jak zachowuje się źwierciadło względem odbijanych w sobie przedmiotów...

Spierają się biografowie Szekspira, czy był on katolikiem, czy też protestantem? Wobec ducha poezji szekspirowskiej, pytanie to jest zbyteczne i błahe.

Wiktor Gomulicki.

Rozbiory i sprawozdania.

Jerzy Żuławski. — Na strunach duszy. Poezje, garść pierwsza.

Kiedy Saint-Beuve przeczytał »Kwiaty grzechu« Baudelaire'a, napisał doń podobno: »Ty bardzo cierpisz, młodzieńcze«. Te same utwory miał na myśli Wiktor Hugo, kiedy zwrócił się do francuskiego poety ze słowami »Stworzyłeś nowy dreszcz«.

Przeglądając poezje licznego zastępu pieśniarzy, którzy w ostatnich czasach tak się u nas rozgościli, prawie że do każdego z nich z mniejszą lub większą racją dałoby się powiedzieć: ty nie nie cierpisz młodzieńcze; ty nowego

dreszczu nie stworzyłeś. Brak głębszego uczucia i jałowość na punkcie oryginalności to ogólne cechy tych rymotwórców, którym się zdaje, że pobrzękiwanie rymami przez paręset stronic czyni poezję.

P. Żuławski w lwiej części swego zbiorku należy do takich poetów... bez poezji. Przeczytawszy uważnie całą książkę zadaliśmy sobie w końcu pytanie: z czego poeta właściwie, nie jest zadowolony, co go boli, co mu sprawia rozkosz? Długo trzeba było sobie przypominać, bo też głęboko nie czuje ani rozkoszy, ani bolu. Zresztą to, co spowodowało rozkosz lub ból, należy do... tematów oklepanych i w poezji dawno już zużytych. Podejrzywać przeto można p. Żuławskiego, że właściwie nie gra na strunach swojej duszy, ale je nastraja na kamertony, podane przez innych. Już tych dążeń do nieba platonicznych, miłośnych kwileń, zwątpień szarpiących »harpunami« miało się tak wiele, że muszą rzeczywiście być bardzo gorąco odczute, i w formie oddane niezwyczajnej, żeby się mogły dłużej w wyobraźni zatrzymać. A forma p. Żuławskiego niczem niepospolitem nie zaleca się. Przedewszystkiem dość jest monotonna, czasem nieodpowiednia. Poeta nap. rytmem wesołym opiewa rzeczy, które powinnyby były inaczej nastrajać. Wiersz »Nad trumną« rozpoczyna się strofką:

W plejady gwiazd,
W wieczności cień,
Już duch twój uleciał kochany.

W ogóle o rytmie da się powiedzieć, że przychodzi z trudnością. Niema w poezjach p. Żuławskiego muzyki rytmu, która u władających nią po mistrzowsku, wiele, nader wiele zastąpić może. Toż Słowackiemu często dużo wybaczamy dla czaru muzyki rytmu. Rym podobnie nie jest bogaty; często taki, jakiegoby bezwarunkowo unikać należało. Do takich nap. zaliczamy prawie na każdej stronicy rymujące się ze sobą czasowniki w czasie przeszłym, w rodzaju nijakim. Razi również nieodpowiednie używanie wyrazów, które bynajmniej poetycznego wrażenia nie budzą, np. »choroba buntu«, »choroba zwątpień. Te choroby gwoli rymu wprowadzone nic nie mają wspólnego z językiem bogów.

Za bardzo nas przyzwyczaili do braku pospolitości w rymie Asnyk, Konopnicka, Kasprowicz, aby te uchybienia nie budziły niesmaku, tembardziej, że treść, którą okrywają, nie zaleca się ani oryginalnością, ani głębią. Nie odmawiamy zupełnie p. Żuławskiemu zdolności poetyckiej. Owszem, posiada ją. Czasem w natłoku niezdarnych rymów i rytmów błyśnie iskierka istotnego talentu, na której przyjemnie się zatrzymać, tylko wrażenie nie jest długotrwałe, ani mocne. Są to po większej części wiersze, wyrażające tęsknotę, albo wątłą miłość. Nie pociągają lotem wyobraźni, ani barwnością stylu, dużo przecież jest w nich uroku dla tego, że odczute są bezpośrednio i oddane ładnie. Do takich nap. zaliczamy niektóre zwrotki w wiersza »Na jeziorze« i bardzo ładny sonet na str. 90. W ogóle uczucia lepiej oddaje poeta ciche, rzewne, tęsknoty pełne. (Wiązankę sonetów pod tytułem »Tęsknota« zaliczalibyśmy do najudatniejszych). Tam zaś, gdzie mowa o wybuchowych, namiętnych, poeta staje się nieszczery i nieprzyjemnie deklamatorski.

P. Żuławski ulega w wielu z utworów wpływowi Mickiewicza, w innych Asnyka, niektóre pisał pod wrażeniem Baudelaire'a, jeden nawet zdradza reminiscencję z Meterlincką. Szczególniej sonety krymskie często musiał mieć przed oczyma. Daje się to widzieć z wierszy: »Śnieżne pola«, »Puszcza«. Ale z Mickiewicza jest wzięty tylko rytm, który nie wszędzie dopisuje; czasem myśl. Asnyk znowu wpłynął na obrazowość. Tęcze, gwiazdy, w ogóle opisy, czynią w wielu miejcach wrażenie ech z poezji Asnyka. Najgorzej naśladuje poeta Baudelaire'a. Zmrok jesienny -- to słaby, nader słaby oddźwięk z »Kwiatów Grzechu«. Jest tu i jesień, ale bez namiętnie odczutego spleenu, i porównanie siebie do mnicha, jeno bez głębokiego poczucia samotności. W innym wierszu: »Moja piosnka«, wziął p. Żuławski od patrona poezji dekadenckiej ideę kontrastów z »Podróży«. U Baudelaire'a ogromna siła, jaką wlał poeta w kontrasty, budzi wrażenie niezatarte, a u p. Żuławskiego?... Proszę posłuchać niektórych kontrastów: »jaskółki w piwnicy«, »wilki chlebem żyjące«, »kozice w równinach«, »zające jesienią na podagrę chore«, »lilje w kominie«. Pod wrażeniem Meterlinck'a napisany jest wiersz »sen zimowy«. Od belgijskiego poety wziął p. Żuławski chwiejną formę. Jeżeli coś podobnego ma miejsce u Meterlinck'a, to objaśniamy to sobie stanem duszy, który nie jest ani w całości lirycznym, ani w całości poza zakres liryki wychodzącym. Jest to coś pośredniego między prozą a poezją. Byłoby z jego strony nieszczerze, gdyby te pośrednie uczucia chciał zawrzeć w prawidłowy rym i rytm, jest w nich bowiem wiele analizy, refleksji. Z drugiej strony oddać je w formie potocznej byłoby znowu rzeczą nieodpowiednią; jest tam uczucie, jest ból, który domaga się formy wiązanej. Ztąd niepewność. U p. Żuławskiego tego rodzaju rozdwojenia nie widzimy. To więc niewolnicze naśladownictwo formy dla treści, która, jeżeli jest jaką, formy nie rozsadza i mogłaby się wygodnie pomieścić w tych rymach, któremi napełnił p. Żuławski swój zbiorek, sprawia wrażenie wprost nieznaczne. W ogóle poezje p. Żuławskiego z małemi wyjątkami, przedstawiają się dość słabo.

Goldberg.



PRO MEMORIA.

21. listopada 1830. Zmarł na Litwie Jan Śniadecki, przezacny obywatel, genjalny profesor uniwersytetu wileńskiego, który wywierał silny wpływ na młodzież za filareckich zwłaszcza czasów.

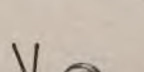
21. listopada 1893. Morderstwa moskiewskie w Krożach.

23. 1878. Zmarł generał Ludwik Mierosławski (urodz. 1812 r.).

24. listopada 1789 r. Deputaci miejscy, zobrani na ratuszu Warszawskim, podpisali „Akt zjednoczenia miast".

25. listopada 1848. Odbyło się w Peszcie uroczyste poświęcenie chorągwi legjonu polskiego, który miał walczyć za wolność Węgier.

25. listopada 1863. Jenerał Bosak zdobył Opatów.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.